# Tygodnik

15 Listopada — 46. — 1819.

*Szczęśliwy kto wdzięk wraz z pożytkiem złączył!*

KRASICKI.

## FLIBUSTJER.

### *Powieść z drugiej połowy Siedmnastego Wieku.*

( Ciąg dalszy. )

Pełnym żaglem wypłynęła flotta ku wyspie Swiętej Katarzyny, gdzie byli więzieni złoczyńcy Hiszpańscy. Z pomiędzy nich chciał *Morgan* wybrać sobie przewodników na niebezpieczną cieśninę Darji. Wylądował na czele tysiąca zbrojnych, i do Gubernatora Hiszpańskiego wysłał Admirała *Brodely* z wezwaniem do poddania twierdzy. Przerażony Hisz-

pan groźbami Flibustjera, udał się tajemnie do *Morgana*, a dla ocalenia honoru swojego, umówiwszy z nim zmyśloną walkę wrócił do swoich. Natychmiast zaczęły grzmiéć największe działa ale samym prochem nabite, i ten żart trwał nieustannie dopóki wszystkich dziesięciu twierdz na wyspie się znajdujących nie dobyto, przy czem żaden człowiek z obojej strony życia nie utracił.

Tak łatwe zwycięztwo zrobiło Flibustjerów panami całej wyspy. *Morgan* opatrzył flottę we wszelkie potrzeby, i na przewodników wybrał trzech złoczyńców Hiszpańskich którym po ukończonej wyprawie przyrzeczono wolność i znaczny udział zdobyczy. Tu *Brodely* otrzymał rozkaz ruszenia naprzód, i zdobycia twierdzy S. Wawrzeńca. Na niedostępnej górze przy ujściu rzeki *Chager* wznosił się zamek obronny, z wielu stron zupełnie niedostępny. Ale *Brodely* z najzimniejszą odwagą, wysadził na ląd swoich ludzi. Pod nim *Montbars* dowodził *Flibustjerom*, *Taureau* Bukańczykom. Szeregami padali oblegający ogniem z dział, karabinów, i zatrutemi strzałami rażeni. Kula dwunastofuntowa urwała nogi *Brodelemu*, ale już na ziemi leżąc, nie przestał swymi dowodzić, a *Taureau* śmiercią przyjaciela rozżalony, z wściekłością rzucił się naprzód, i kazał Bukańczykom wystrzelić na dachy miasta, ladsztokami w bawełnę obwiniętemi. Domy, po większej części, liściami palmowemi przykryte, z okro-

pną szybkością palić się zaczęły. Kilka beczek prochu wyleciało na powietrze. W nocy zaś, gdy Hiszpanie zajęci byli gaszeniem szerzącego się coraz płomienia. *Montbars* ponowił szturm z swoim oddziałem. Zawalono palisady, ziemia pozbawiona podpory zapadła się i napełniła rowy. Długo jeszcze bronili się Hiszpanie, Gubernator na ich czele walczył z męztwem Rzymianina. Daremnie *Montbars* ofiarował pardon. Smiały Hiszpan odpowiadał mu coraz nowemi razami, póki przemocy nieuległ. Reszta osady złożyła broń, a wpółumarły *Brodely*, na ramionach towarzyszów z tryumfem po zwalonych murach do twierdzy został wniesiony.

Następnego rana, stanęła flotta Flibustjerów w ujściu rzeki Chager. Ucieszony tak prędkiem zwycięztwem, pobiegł Morgan do twierdzy, a uczciwszy podług zasług umierającego *Brodelego*, wezwał *Montbara* do osobnego gmachu i rzekł z ujmującą otwartością: „Dumny widzę jesteś młodzieńcze, że wyrzekasz się niejako chwały ojca, i chcesz ją zaćmić własnemi czynami. Wodza obowiązkiem jest uznać z wdzięcznością to, coś zrobił dla ogółu, i co jeszcze zrobisz. Mianuję cię następcą *Brodelego*, a że nowy Admirał w czasie wojny lądowej mniejby miał do czynienia, przeto polecam ci przedsięwzięcie wymagające nie mniej roztropności jak męztwa. W Panama dowiedziano się o naszych zamysłach, Gubernator zbiera przeciwko nam ogromną siłę. Trzeba

mi wyśledzić jego układy, i ducha jaki ożywia mieszkańców. Wielkie dzieło wymaga znakomitych zdolności, wybrałem Ciebie." „*Mnie* — krzyknął *Montbars* oburzony zleceniem szpiegostwa — Zapominasz wodzu, że do takich spraw oprócz wszystkiego co mi przyznajesz, potrzebne jest jeszcze doświadczenie, na którem mi zupełnie zbywa." „Przymioty twoje zastąpią zupełnie ten niedostatek — przerwał *Morgan* — jesteś nieprzystępny przekupstwu, wszyscy zaś inni ludzie moi, wiem że za dobrą opłatą to by i mnie i całą flottę przedali." „Kiedy tak, to z serca was żałuję." — odpowiedział *Montbars*, który dopiero poznał ze zgrozą, do jakiego związku należy. „Są jeszcze tacy, lubo w małej liczbie za których bym ręczył — rzekł dalej *Morgan* z największą obojętnością — ale noszą już na czołach, cechę wyjadaczów w naszem rzemiośle; na twojej tylko twarzy nie widać nic innego, prócz żądzy boju, która nic nie psuje, więc ty tylko zdać mi się możesz." „Jak to? — krzyknął *Montbars* zapominając się w gniewie — Ten charakter nieskażonej duszy który Bóg złożył na mej twarzy, a który nawet między wami zachować umiałem, ma służyć za zdradę? Nie, takiego podstępu nawet przeciw Hiszpanom nigdy nie użyję."

„Spodziewam się że dla mnie to zrobisz. — rzekł *Morgan* z ironiczną grzecznością — Przyzwyczajony jestem do posłuszeństwa, umiem nawet przymusić

tych którzy mi je zaprzysięgli” — „Jak uczciwy żołnierz, nie podły szpieg przysiągłem Tobie! — krzyknął *Montbars* — Raz na zawsze nie zrobię tego.” Tu piekielny uśmiech osiadł na twarzy *Morgana*: „Powoli, powoli, — szepnął z morderczem wejrzeniem — strzeż się młodziku żeby twoich szaleństw honorowych moi Flibustjerowie nie usłyszeli i niewyśmiali. Cóż to, zapomniałeś do jakiego związku należysz? zapomniałeś kto jest *Morgan*? Czy go chcesz dopiero poznać? Nie radzę ci moje dziecię! jesteśmy sami, nieróbmyż z sobą żadnych ceremonji. Wiem dobrze iż Ciebie urzędownie nie mogę przymusić żebyś ruszał do Panama, jednakże cię przymuszę. Albo przystaniesz na moję wolę i otrzymasz natychmiast potrzebne papiery, albo nie, a wtedy każę w twoim i wuja twojego namiocie ukryć drogie sprzęty z dobytej twierdzy, i stawię was przed sądem! W takim przypadku możesz być pewny, że stary *Taureau* zapomni co mnie winien. Jego więc każę rozstrzelać jak buntownika, Ciebie maronować jako przywłaszczyciela dobra powszechnego.” Osłupiał *Montbars*, a wpierwszym zapędzie dobył ukrytego sztyleta, i silnym razem ugodził w piersi *Morgana*, lecz stal prysnęła mu w ręku, a spokojnie odezwał się *Morgan* „Niewiedziałeś że noszę pancerz pod suknią, przebaczę ci i to szaleństwo, ale słuchaj moich rozkazów, i wiedz, że *Taureau* odpowie za ciebie.” Zawstydzony niegodnym siebie za-

machem i wspaniałością *Morgana* przyjął *Montbars* z rąk wodza potrzebne papiery, i wybiegł odurzony.

Gubernator Królestwa Peru *Don Juan Perez Guzman* siedział w pysznym swoim pałacu przy kosztownej uczcie; ale na próżno oba półkola składały się na zastawienie jego stołu, ciężki smutek osiadł mu na czole, a burza zbierająca się od Antyllów mięszała wszelką spokojność. Przy nim siedziała, również duchem nieprzytomna, ale nierownie przyjemniej marząca synowa jego Donna *Marïa*, której spowiednik Dominikan Ojciec Jgnacy, nieustannie dowodził, że Flibustjerowie nie są ludźmi, ale dziećmi czartów morskich. „Ah! — rzekła zniecierpliwiona — wszak i ja raz wpadłam w ich ręce, a zapewnić mogę, że zupełnie tak wyglądają jak Hiszpanie." „Nad tak bezbożnem niedowiarstwem — zawołał z pogróżką Jgnacy — obszerniej zastanowiemy się przy najpierwszej spowiedzi! Dobrotliwy Stwórca pozwolił tym poczwarom okazywać się pod ludzką postacią, dla tego żeby tym łatwiej mogły podług jego widoków zostać pognębieniem bezbożnych, a doczesną chłostą bogobojnych oszczędzającą im kilkadziesiąt lat kary czyszcowej. Tak jest — dodał podnosząc głos — Flibustjery są dziećmi Szatana, a kto temu niewierzy, dla tego zgotowany jest ogień wieczny." Brat *Marji*, *Don Diego* już chciał mocnym dowodem zbić taką zuchwałość, a Don *Guzman* obawiając się przemożnego mnicha,

dał znak podniesienia się od stołu, gdy niewolnik Gubernatora doniósł Panu że *Don Rodrigo*, *Gormas*, *Hidalgo* przybył z Mexyku z ważnemi doniesieniami. Od dawna wyglądający tych wiadomości, z uniesieniem kazał Gubernator zaprosić pożądanego gościa. Wkrótce pokazał się piękny Kreolczyk w bogatym Hiszpańskim stroju, i oddał Don *Guzmanowi* listy, których czytanie spędziło z czoła jego wszelki ślad niespokojności.

„Witaj kochany gościu — rzekł starzec biorąc go za rękę — Przywozisz mi zapewnienie potrzebnej bardzo pomocy wojskowej, gdy o niej już zacząłem powątpiewać." Z trudnością oderwał nieznajomy ognisty wzrok swoj od pięknej *Marji*, co również niespuszczała go z oka, odpowiedział w kilku słowach Gubernatorowi, i usiadł przy bracie *Marji* który przypatrzywszy mu się z nadzwyczajną uwagą, wypił do niego pełnym kielichem na zupełne zgnębienie rozbójników morskich. Zarumienił się nieznajomy, porwał kielich, wypił duszkiem, i zapytał Gubernatora kiedy raczy dać odpowiedź. „Dziś jeszcze nie — odpowiedział Don Guzman — Ja trzymam się zawsze tego zdania że co nagle to niewiele warto. Wasz Wódz żąda niektórych objaśnień o stanie naszym i środkach obrony, co chyba jutro potrafię doskonale oznaczyć. Tym czasem kochany Don Rodrygu chciej być moim gościem. Jeszcze burza wojny nie jest tak bliska, obiecany posiłek dodaje mi

otuchy, chcę więc dzień jeden na wysepce naszej z familiją moją przepędzić. Zechcesz nam zapewne towarzyszyć. Później obadwa, śmiało i ochotnie poświęciemy się usługom Króla naszego Pana. Wszak zapewne *Don Rodryg* należy do wojska posiłkowego które z Mexyku nadciąga." „Nie inacze." — odpowiedział pomięszany nieznajomy, wstał i oświadczył iż musi wyjść dla odwiedzenia jednego z dawnych znajomych. „Jak ci się podoba" — rzekł Gubernator z przyjaznym uśmiechem, a dziwny posłaniec raz jeszcze rzuciwszy okiem na *Marją*, wyszedł prawie bez przytomności. Ojciec *Jgnacy* zaczął kiwać głową. *Marja* i brat jej zapytali się razem jedno drugiego: „Czy znasz *Don Rodryga*?" a oboje tem jednakowem pytaniem zmięszani, bojąc się niebezpieczniejszych skutków, umilkli i wyszli z pokoju. Jeszcze bardziej zaczął kiwać głową Ojciec *Jgnacy*. „Tu jest coś w tem" — rzekł i pospieszył do gabinetu Gubernatora.

Minęła Sjesta; baty czekały już przed ogrodem gdy *Don Rodryg* powrócił do Gubernatora. Tu zdziwił się niezmiernie, widząc jak dumny jakiś Hiszpan z zimną poufałością uściskał *Marją*. „Jest to mój syn, Alkada miasta Panama" — rzekł Gubernator przedstawiając go nieznajomemu. Obojętnie skinął głową Don *Antonio*, Gubernator rzekł dalej: „Mój syn żałuje mocno że niebędzie mógł ściślej zaznajo-

mić się z WPaném, ale dziś jeszcze wyjeżdża w sprawie Króla Pana naszego do Hispanjoli." Szydersko uśmiechnoł się *Rodryg* i już chciał pożegnać dumnego Alkadę, lecz wkrótce szlachetniejsze uczucię wzięło górę w jego duszy.

Zbliżył się do Gubernatora, i zapytał go którędy syn myśli jechać. „Przez wyspę Swiętej Katarzyny, gdzie ma oddać niektóre rozkazy Komendantowi" — rzekł *Don Guzman* „Dla Boga nie! — krzyknoł wzruszony *Rodryg* i dodał z obojętnością — Mam niektóre doniesienia, że ta wyspa nie jest bezpieczno. Życzyłbym udać się przez Kartaginę. „Cóż by mogło być powodem, do tego dziwacznego krożenia — zapytał się z pogardo *Don Antonio* — Może nikczemna banda *Morgana*? Zdaje mi się że szlachetny Hiszpan chociaż i w wojsku niesłuży powinien by mieć więcej odwagi." „I bohater musi ustopić przewyższajocej sile — rzekł młodzieniec tłumioc gniew co go zapalał — Zaręczam WacPanu iż na Jego miejscu, użyłbym tej samej ostrożności któro Mu doradzam." „Takiemu młodzieńcowi jak WcPan — rzekł Alkada z obruszajocą wyniosłościo, przebaczyć można że innych sodzi podług siebie, ale przynajmniej wstrzymać by Mu się należało z dawaniem porad o które nikt nie prosi." Do miecza porwała się dłoń *Rodryga*, jednak raz jeszcze przezwyciężył się. przystopił do Alkady i rzekł: „A gdyby wyspa i twierdza była w ręku Flibustjerów,

czyśbyś i wtenczas pogardzał mojo przestrogo?"
„Już by też świat musiał się przewrócić — rzekł *Don Antonio* — gdyby sędzia drżał przed złoczyńcami, których ma wkrótce ukarać. Jadę z mocnym oddziałem. Bogu niech dziękujo zbójcy jeżeli ich gdzie nie spotkam." To mówioc oddalił się i nieraczył ani spojrzeć na tego co go chciał odwieść z drogi pewnej zguby. Bolejoc iż dobrego dzieła niemógł wykonać, wrócił *Rodryg* do towarzystwa, i przy wsiadaniu na baty, podał rękę *Marji* która mu szepnęła: Zkodkolwiek przybywasz, wiem że jesteś szlachetnym mężem, przeto niczego się nieobawiam."

Słońce zapadło w morzu. W czystym błękicie południowego Nieba, wisiała srebrna kosa księżyca ponad zatoko Panamejsko, i oświecała wesołe wysepki, które słusznie zwano ogrodem Ameryki. Tysiocem świateł jaśniał domek Gubernatora, a w zachwycajocym Fandango bujały ładne Hiszpanki, w lekkich obrotach ścigane podziwieniem przytomnych. Ojciec *Ignacy* nieodstępował od boku Gubernatora, i nakształt pszczoły nieustannie brzęczał mu do ucha. Pilnie uważała ich obu *Donna Maria*, i gdy spostrzegła gniewne spojrzenie, które jej teść po długiej rozmowie z *Ignacym* rzucił na *Rodryga*, natychmiast porwała tego ostatniego za rękę, i zaprowadziła przez gaj pomarańczowy który wkoło domek otaczał, do samotnej groty. „Nieomylisz mnie dłużej! — rzekła piękna kobieta w dzikiem porusze-

niu — Ten ubiór nieprzystoi ci, a ten oliwkowy kolor którym Kreolczyka udajesz, równie niejest twoim, jak ów czarny który mnie na wyspie Tortuga w murzynkę przemienił." „Boże! moje przeczucie. — zawołał młodzieniec padając jej do nóg — Jesteś Marja!" „A ty Montbars, syn gnębiciela i sam już gnębiciel!" — zawołała Marja nakształt zagniewanej Bogini spoglądając na niego; ale wkrótce zmiękczonym głosem dodała: „O Królowo Nieba! możeż rozbójnik mieć tako postać!" Na te słowa porwał się Montbars. Duma jego niemogła znieść takiego upokorzenia: „Dziś — zawołał — skłamałem po raz pierwszy, ale już niemyślę kłamać dla zachowania nędznego jestestwa o które niestoję, skoro ty mno pogardzasz. Tak, jestem Montbars syn gnębiciela, Admirał Flibustjerów, którzy wkrótce podstopio pod Panama. Przybyłem tu na zwiady. Teraz zwołaj twoich żołdaków; dotrzymam im kroku, żeby przynajmniej zginoć śmiercio uczciwego żołnierza."

„Człowieku! — zapytała go Marja z boleścio — czyliż między zbójcami tak złym się stałeś, że miłości przypisujesz zdradę? Mogłażbym pod miecz katowski oddać tego, który mi życie i honor zachował, i nie dawno rzadko szlachetnościo przestrzegał nieprzyjaciela, który jedynie szczęściu jego się sprzeciwia?" „Więc to męża Twojego chciałem zachować — zawołał Montbars z wściekłościo. — Du-

mnego tego Hiszpana, miałem tylko za szczęśliwego zalotnika; lecz po jego obojętności powinien byłem prawdy się domyśleć. Ah Marjo! cóż cię oddało w ręce takiego człowieka?" „Wola ojca — rzekła z westchnieniem — co mi nawet odmówił świętego schronienia w klasztorze, gdziebym w czystem sercu chować mogła lube wspomnienia." „O Aniele! Ty więc kochasz rozbójnika!" — zawołał Montbars i przycisnął ją do serca. Piękna odpowiedziała jego uściskom, gdy Don *Diego* w padł do groty. „Zdradzony jesteś — krzyknął na Montbara — Przeniknął cię ojciec *Jgnacy*, Gubernator chce zemsty i mnie kazał ująć Ciebie. Wiem co mi każe powinność, i przysięga poddanego Królewskiego, wiem jak niebezpiecznego nieprzyjacjela zachowuję Hiszpanij, ale jakże mogę więzami obciążyć tę rękę która mnie przed okrucieństwem Bukańczyków zasłoniła? Idę teraz zbierać żołnierzy. Moja siostra zaprowadzi Cię nad brzeg morza, gdzie łódka z dwoma murzynami czeka na Ciebie. Niech cię Bóg prowadzi, a święta jego Opatrzność niechaj to zrządzi, żeby jak się kiedy zobaczemy uścisk czystej ręki mi dziękował." I nieczekając odpowiedzi zniknął szlachetny młodzian w gaju pomarańczowym. Ze drżeniem porwała Marja rękę odurzonego Montbara i poprowadziła go nad brzeg gdzie łódka czekała. Długo w milczącym uścisku stali tu oboje, wtem koło domku odezwały się trąby i szczęk oręża. „By-

waj zdrów." — zawołała Marja i wróciła do ogrodu. Szczęśliwy Montbars skoczył w łódkę, i gdy *Diego* z żołnierzami przybył do brzegu, już go dojrzeć niemożna było.

Jak najraniej dnia 27. Stycznia 1671. roku stanęło pod bronią wojsko Morgana, głodem, niedostatkiem i niezliczonemi trudnościami w marszu, do tysiąca i sta ludzi zmniejszone. Znużone wstąpiło na pagórek, i przypatrywało się nadciągającej przeciwko niemu sile Hiszpańskiej. Cztery pułki regularne, 2,500. ludzi nieregularnej piechoty i 400. jazdy zebrał *Don Guzman* przeciw rozbójnikom, nielicząc kilkuset Indjan prowadzących 2,000. dzikich byków dla zgniecienia garstki nieprzyjaciół. Na ten widok męztwo Flibustjerów zaczęło stygnąć; ale Morgan zawsze przenikający uczucia swego wojska, kazał mu stanąć w czworogran, i ze środka rzekł: „Oto w porannym blasku, proroczo błyszczą dla nas wieże miasta Panama. To miasto jest najbogatsze w Terra-firma, jest składem srebra Mexykańskiego i Peruwjańskiego złota. Kościoły, sklepy, klasztory, napełnione są klejnotami. Narody świata mają tu skład swoich towarów, słowem Panama jest nagrodą godną najcięższej walki. Wiedzą to Hiszpanie, gdy w takich tłumach przeciw nam wychodzą. Te podłe zgraje walczą dopiero, gdy już idzie o zachowanie własnych zbiorów. Łatwa przez nie droga do szczęścia. Teraz czeka nas nagroda za tysiączne przykro-

ści któreśmy wycierpieli nimeśmy tu doszli. Flibustjerowie niemogą, być pokonanymi. Przeto naprzód do zwycięztwa!" Takie tylko słowa mogły trafić do przekonania tych ludzi. Wnet naokoło podniosły się wesołe okrzyki, czapki wyleciały w górę i o broń uderzyły dłonie do mordu gotowe. Odezwała się polowa muzyka, Morgan w pole ruszyć kazał. Montbars na czele swego oddziału, pierwszy uderzył na wojsko Gubernatora. Nadzwyczajne przeciwieństwo wykazywały zbliżające się ku sobie wojska. Tu liczni, piękni żołnierze Hiszpańscy, wszyscy bogatym jedwabiem strojni, jakby na wesołe igrzysko ciągnęła jazda na kosztownych koniach. Tam garstka bosych, znędzniałych rozbójników, u których suknie w kawałki padały i nic w porządku nie było, prócz czysto świecącej się broni. Któżby mógł mniemać, ażeby tak potężna i śmiała prawność, mogła uledz bezsilnej zbrodni? Ale kara Boska ścigała Hiszpanów, a dawne mordy miljonów niewinnych Indjan, przeważyły ich potęgę, przeważyły nawet teraźniejszą dobrą ich sprawę.

Montbars otworzył walkę, i karabinowym ogniem mocno zaczął razić Hiszpanów. Rozgniewany Don *Guzman*, kazał jeździe uderzyć na nieprzyjaciela; i piękny do malowania, jak dawny Hiszpański *Cavallero* w walce z Maurami, puścił się Don *Diego* dla wstrzymania śmiałego natarcia. Ale ani on, ani dowódzca niedali baczności na bagniska które się w

tej okolicy znajdowały. Z tyłu Montbara, strzelcy nieustanny utrzymywali ogień, 350. jezdców padło na miejscu, reszta, poszła w rozsypkę, i mimo najdzielniejszego oporu, porwała z sobą dowodzcę. Z tym większym zapałem uderzył Morgan na srodkową siłę Don *Guzmana*. Walecznie bronili się Hiszpanie, ale daremnie; już kolumny zaczęły się cofać, gdy Gubernator postanowił doświadczyć ostatnich środków, i 2,000. dzikich byków wypuścić kazał na Flibustjerów. Okropny to był widok, gdy te zdziczałe zwierza głowy rogami zbrojne nachyliwszy ku ziemi, uderzyły na Flibustjerów. Nie zmięszało to Bukańczyków na których związek z Flibustjerami, równie jak na tyle innych rzeczy, niedali baczności Hiszpanie. W starym Taureau który nieodstępował synowca, obudziła się chęć do dawnej zabawki. „Dotychczas słuchałem cię Admirale! — rzekł z młodzieńczym ogniem do Montbara — teraz ja będę dowodził, bo na tej wojnie lepiej się znam od ciebie." Natychmiast zaczęło się polowanie na dzikich byków w wielkim stylu. Przestraszono ich chorągiewkami i krzykiem. Jedna część zwróciła się na Hiszpanów reszta rozbiegła na różne strony, a prawie wszystkich dosięgnoł zabójczy ołów z ręki Bukańczyków. Tymczasem Morgan raz jeszcze uderzył na *Guzmana*. Jazda już była zniszczona, piechota rzuciła broń ażeby tymprędzej uciekać, i nieliczoc rannych i jeńców, 600. Hiszpanów poległo na polu bitwy. Spie-

sznie wyruszył Morgan za uciekającymi. Daremnie sto pas cz ognistych z murów miasta rozpościerało śmierć w szeregach nacierających rozbójników, po trzygodzinnym oporze Panama zostało zdobyte, a z ganku pałacu, zawołał Morgan na swoich: „Róbcie co wam się podoba. Zdobycze oddajcie do wspólnego działu, i niekosztujcie wina, bo jest zatrute przez Hiszpanów!" Natychmiast jak niesyte wilki rzucili się rozbójnicy; ze wszystkich domów odezwał się jęk nieszczęśliwych, a boleścią przejęty, westchnął Montbars: „Do jakiego to ja związku należę."

Wśród największych okropności przeminęła noc cała. Tylu zbytkami nie nasycili, ale zmordowali się wreście Flibustjerowie. *Montbars* blady na twarzy i ze łzami w oku, szedł przez znajomy sobie ogród, ażeby podług nienawistnej powinności zdać Raport wodzowi. Dzikie odgłosy odzywały się w jednej ulicy, i ze zgrozą ujrzał zranionego *Diega*, którego Flibustjerowie przywiązali do drzewa, ażeby na nim wymęczyć nowe skarby. Z szlachetnym gniewem rzucił się między tych zapaleńców, kazał im odwiązać Hiszpana i odprowadzić do swojej kwatery. Śmiech szyderski był odpowiedzią, i własny Montbara sternik wyszedł ku niemu. „Przepraszam Admirale — rzekł — Jesteś młody i nieznasz praw związku w którym się znajdujesz. Ten pies Hiszpański jest naszym niewolnikiem. Co na nim wymęczymy to należeć będzie do ogólnej kassy i nikt

nam tego zakazać niemoże. W służbie jesteś naszym dowódzcą, ale do prywatnych zabawek mięszać ci się niewolno" „Ty sam go odwiążesz *Misanie*!" .. krzyknął Montbars dobywając pistoletu. „Ah daj pokój tym żartom. — odpowiedział sternik z obuzrzającą spokojnością. Nas jest trzydziestu. Na wszelki przypadek źle byś wyjść musiał." „Przestań się za mną ujmować Montbarze! rzekł zmęczony *Diego* — Dziękuję Ci za dobrą chęć ale widzę, że tu nic nieporadzisz." Ale Montbars zmarszczył brwi wymierzył do sternika i zawołał." „Słuchaj nędzniku co ci każę."

„Nie" — odpowiedział *Misanje*, i już chciał nożem przebić *Diega*, gdy *Montbars* wystrzelił, i krwią własną zlany padł na ziemię zuchwały sternik. „Zemsta!" — krzyknęły rozjadłe rozbójniki, nabili broń, jeden wystrzelił, a kula przeszyła kapelusz Admirała. Ale jak anioł śmierci, rzucił się na nich Montbars, rozpłatał głowę buntownika, i spokojnie spoglądając na wymierzone przeciw sobie strzelby, zawołał głosem komenderującym: „Baczność! Odstaw! Do nogi broń!" Mechanicznie słuchali go zadumieni. „Złóż broń!" komenderował dalej. Na te słowa spojrzeli po sobie, lecz Montbars nie zostawił im czasu do namysłu, przyskoczył do nich, odliczył dziewięciu, przebił dziesiątego, i zawołał trzęsąc się od gniewu. „Złożcie broń, albo przysięgam na Boga, że was do ostatniego będę dziesiątkował." „Prze-

bacz!" krzyknęli jedni. „Takiego nam potrzeba" rzekli drudzy, i wszyscy złożyli broń na ziemię. „Przez względ na wasze posłuszeństwo przebaczam wam dawniejszą zuchwałość!" — spokojnie powiedział Montbars, kazał Hiszpana odprowadzić do swojej kwatery, a wesół że zachował życie bratu swojej ulubionej, pobiegł do *Morgana*, którego zastał ważącego zdobyte srebro i złoto. „Dobrze że przychodzisz Admirale — rzekł do niego Naczelnik — Mam świetne zlecenie dla ciebie. Gubernator uciekł na okręcie, który przynajmniej tyle waży co całe Panama, bo wszystkie bogactwa Klasztorów, domów prywatnych, są uwiezione. Walczyłeś tak mężnie w ostatniej bitwie, że ci muszę przebaczyć dawniejsze szaleństwo. Spodziewam się że cię zaprawię do naszego rzemiosła. Okręt który zdobędziem, nie będzie należał do kassy ogólnej, ale my sami równo się nim podzielemy." Skończył, a nie czekając odpowiedzi, dał mu znak rozkazujący żeby się oddalił.

Montbars wrócił do swej kwatery, gdzie znalazł *Diega* wiernie strzeżonego od tych poczwar, które dopiero co chciały go rozszarpać. Admirał odesłał swych Flibustjerów do portu, potem ścisnąwszy swego przyjaciela, zapytał go przytłumionym głosem: „Gdzie jest Marja?" „Jak się dorozumiewam — odpowiedział *Diego* — jest na okręcie który uszedł z rąk zbójców." „O Boże! — zawołał Mont-

bars — Ja mam ścigać ten okręt, a jeżeli go dogonię, zginie niezawodnie." „Okręt ten musi już być daleko. — pocieszył go *Diego* — Admirale! czyń co ci powinność każe, pewno go niedopędzisz." „Na wszelki przypadek wiem co zrobię — szepnął sobie Montbars — ale Ciebie gdzie podzieję? Tubyś pewno śmierci nieuszedł?" „Więc mnie zostaw na los szczęścia — zawołał Hiszpan zniecierpliwiony — Niechcę przeżyć upadku naszego miasta, ani zbójcy być życie winnym." „Nigdy! — przerwał Montbars, niezważając na gorycz ostatniego wyrzutu — Pójdziesz zemną w ubiorze Flibustiera, a może mi się uda wysadzić cię na ląd bespieczny" „Czyś zapomniał na co się wystawiasz?" — zapytał wzruszony *Diego*. „Życie położę za brata mojej Marji, — rzekł Montbars — a biada Tobie, jeżeli ten czyn uznasz za jakę ofiarę." Porwał go za szyję *Diego*: „Szlachetny Mężu! — zawołał — Ty jedyny człowieku wśród zgrai czartów, tobie chętnie się powierzam, i chcę być twoim dłużnikiem."

Natychmiast dumny *Diego*, zmienił się w nikczemnego Flibustjera. Brzydka broda i udane blizny odmieniły go zupełnie; a przy odgłosie trąb i kotłów wstąpił Montbars na okręt przeznaczony. Rozpuszczono żagle; przy pomyślnym wietrze wyruszono z nadzwyczajną szybkością, która przeraziła obu przyjaciół. „O dwie mile w południowowschodniej stronie, wielki Hiszpański okręt!" —

krzyknął po sześcio-godzinnej podróży Flibustjer z kosza masztowego. Wesoły okrzyk podniósł się w około, a Kapitan rzekł do Montbara: „Ręczę głową Panie Admirale że ich dogoniemy." W sercu nieszczęśliwego młodzieńca, walczyła powinność z miłością. Jeszcze spieszniej płynął okręt, i wkrótce ujrzano statek Hiszpański, co wszelkiemi siłami przed niemi uciekał. Ochotnie gotowali się już do boju Flibustjerowie, gdy na północnej stronie podniosła się okropna łona, która coraz się rozszerzając, wkrótce całe niebo i morze, ognistą purpurą powlekła.

To nadzwyczajne zjawisko odwróciło na chwilę od uchodzącej zdobyczy, chciwe oczy rozbójników. „W Panama gore!" krzyknęli niektórzy i wkrótce wszyscy stanęli na tylnym pokładzie dla przypatrzenia się okropnemu pożarowi. W ciężkich myślach zatopiony stał między nimi Montbars wreście westchnąwszy zawołał: „Panama się pali. Szaleństwem byłoby mniemać że Flibustjerowie podłożyli ogień w mieście które już do nich należy. Jestem więc przekonany że Hiszpańscy żołnierze napadli na naszych braci i ogniem i mieczem ich wojują. Swięta powinność każe nam spieszyć na ich obronę." „Nie Panie Admirale! — zawołał chciwy kapitan — dopełniajmy ściśle rozkazów Morgana. Uderzajmy na nieprzyjaciół, a co w Panama się dzieje to do nas nie należy." „Hańba Flibustjerowi! — wykrzyknął Montbars z szlachetną dumą — coby za całe

złoto Ameryki odbiegał braci w potrzebie. Uczucie honoru powinno nam przewodniczyć, przeto ani wspomniałem o tem że ubiegając się tu za niepewną zdobyczą, tracimy w Panama owoce tylu walk i niebezpieczeństw."

„Prawdę mówi Admirał!" krzyknęli niektórzy zbójcy, których najmocniej ostatni dowód poruszył. „Nie!" — odezwali się drudzy — Dopędzimy naprzód nieprzyjaciół, a potem będzie dość czasu do powrotu. „Przy równości zdań rozstrzyga Dowódzca." — rzekł Montbars wyższym głosem i kazał sternikowi nawrócić okręt. „Na to nigdy nie zezwolę — z wściekłością krzyknął Kapitan. — Panie Admirale! śmiele powiem ci w oczy, że albo nie lubisz prochu, albo zdradę jaką knujesz przeciw związkowi. Rozgniewany dobył Montbars oręża, dobył i Kapitan, a zbójcy również uzbrojeni, chwycili się już jednej już drugiej strony. W tem *Diego* wyszedł na środek i zawołał: „Dziękujcie mi bracia że śmiercią moją zapobiegam wojnie domowej" i lwią siłą porwał Kapitana, z nim razem skoczył z okrętu i zanurzył się w morzu. W zadumieniu spoglądali na siebie Flibustjerowie, uczuł Montbars szlachetne poświęcenie się Hiszpana, łzy stanęły mu w oczach, i bez dalszego oporu zwrócono okręt ku Panama.

(Dokończenie w następującym Numerze.)

# Epigrammata
## Antoniego Pełki.

*Miłość i Zazdrość.*

Miłość ślepa a zazdrość acz ma wielkie oczy,
Nie zobaczy oczyma, gdy ślepa gdzie wskoczy.

*Przyjaźń i Miłość.*

Ta słaba, tamta z razu jakby ogień właśnie,
Przyjaźń się z laty wzmaga, z laty miłość gaśnie.

*Do Cnoty.*

Wszyscy cię ludzie chwalą, i niecnoty same,
A brać cię nie chcą, jakby bez posagu Damę.

*Do Oszczędności.*

Skromna Bogini! o śliczne nazwisko,
Po coś stanęła przy skąpstwie tak blisko:

*Wino.*

Wino stare wystałe stojąc odpoczęło;
Ruszone ruszyło się, wszystkich za łeb wzięło.

*Kuglarz.*

Kuglarz chodził na głowie, zręczny i obrotny,
Rzekł ktoś: łeb na Jurzystę - twardy i przewrotny.

*Piotr siwy.*

Piotr mowi że z pomady siwy, temu wierzę.
Bo Piotr już lat sześćdziesiąt, te pomadę bierze.

*Pan co przyjmuje na miesiąc.*

Dobrze że sług na miesiąc przyjmujesz mój Panie.
Może drugi zapłacić już nie będziesz w stanie.

Do *Juzi.*

Czegoż ty moją Juziu piosneczkę całujesz,
Pocałuj tego w którym ślad piosnek znajdujesz.

*Staruszka co przędząc umiera.*

Pod piecem przędła staruszka,
    Słabe pasmo pociągała,
Tak siedząc na środku łóżka.
    Drzymie — usnęła, skonała.
Tak smutnym kończy obrazem
Nici i życia wątłe pasma razem.

*Na Stanisława gadułę.*

Gadasz trzy po trzy we śnie, trzy po trzy na jawie,
Kiedy spisz? kiedy nie spisz? powiedz Stanisławie.

*Słuch.*

Jakaż z słuchu radość moja!
Któż to opowiedzieć zdoła?
Kiedy śliczna buzia twoja:
Kocham cię, kocham zawoła.

### *Malarz.*

Przecież zawsze te malarze,
W swych sztukach bywają łgarze!
Patrz na portret tej Jejmości,
Co tam wstydu, co skromności.

### *Na śmiech Basi bez przyczyny.*

Co się bez przyczyny dzieje,
Z tego się każdy rozśmieje.
Smiechu przyczyny nie miała,
Więc się Basia słusznie śmiała.

### *Gra wieczorna.*

Z czasem się gry odmieniają,
Bo zawsze miłe odmiany,
Ciuciu babki dziś nie grają,
Zawsze trwa censurowany.

### *Piotr*

Od Piotra się nie wytoczy
Dukat, cóż to za przyczyna?
Wie że okrągłość się toczy,
Więc takie złoto obrzyna.

### *Vanitas Vanitatum.*

Jakże ten worek wygląda brzytko,
Próżność, próżności, i próżność wszytko.